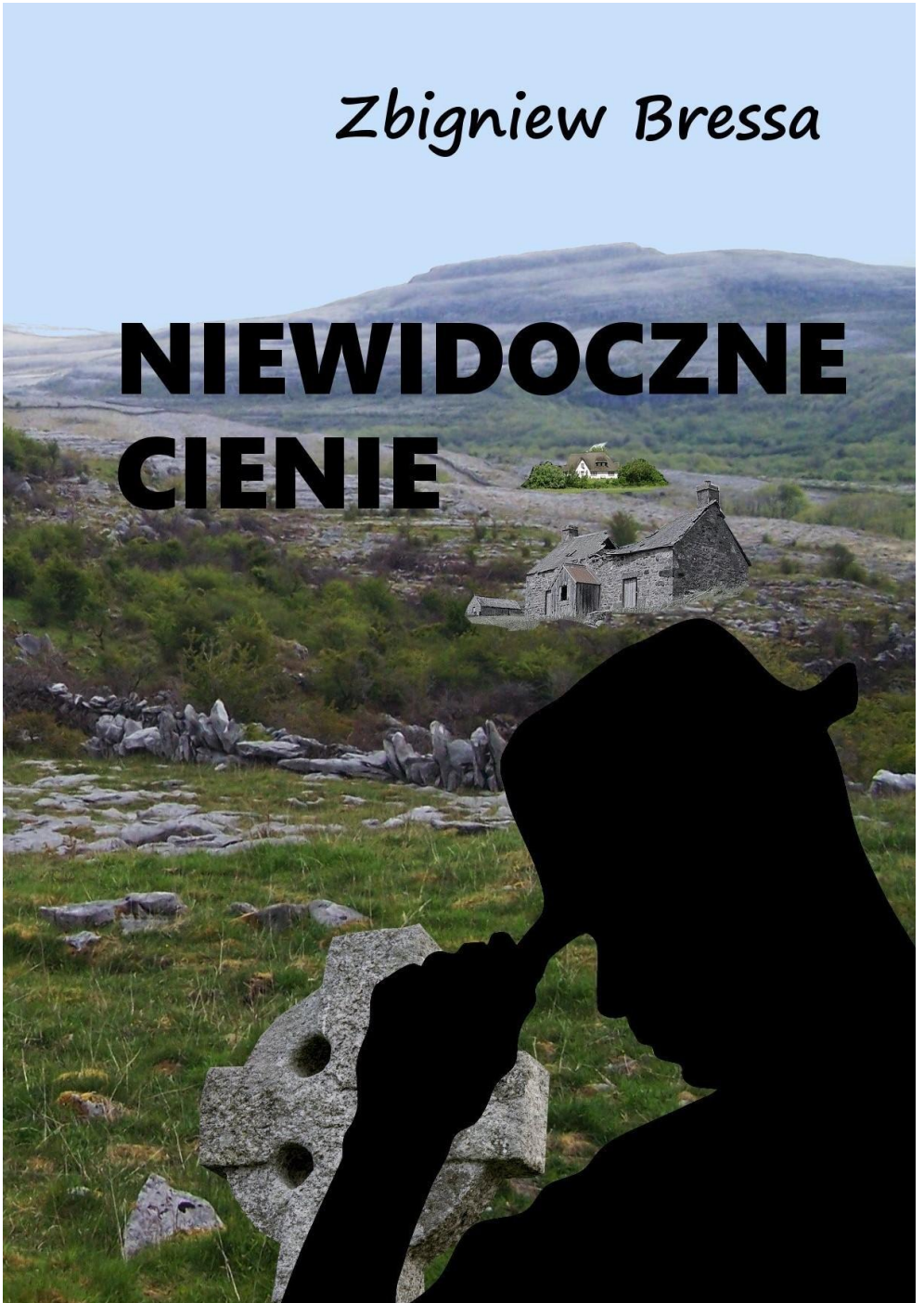


Zbigniew Bressa

# NIEWIDOCZNE CIENIE



Zbigniew Bressa

**NIEWIDOCZNE**

**CIENIE**

Paczków 2018

Korekta i redakcja  
Monika Mielcarek

Skład i łamanie  
Zbigniew Bressa

Projekt okładki  
Zofia Bressa.  
Wykorzystano elementy zdjęć ze strony pixabay.com

Wydanie I

*Niewidoczne cienie*  
© Copyright 2018 by Zbigniew Bressa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości  
lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

ISBN: 978-83-950224-2-5

Zbigniew Bressa »Self Publishing«

zbigniewbressa.com

Paczków 2018

---

*Dobroć zmiękczy  
serce twardsze od kamienia*

---

*I know **She** (...) knows; I know **S.He** (...) knows*

# I.

## DOJRZEWAJĄCE PRAGNIENIA

Budził się nowy dzień opatulony w gęste mgliste opary. Wokoło rozpościerała się ściana skondensowanej mlecznej bieli. Paprotki przyodziały się w misternie utkane jedwabiste włókna. W wymyślnie usnutych koronkach zawisły sznury diamentowych kropel.

Za horyzontem jaśniało; słońce wzniosło się ponad linię horyzontu, ukazując swoje rumiane oblicze. Strumienie ciepła uderzyły w chłód i zaczęły go wypierać.

Pomimo wczesnej pory, w wiejskim domku panowało ożywione poruszenie. Jeszcze nie zapał pierwszy kogut, a już w miniaturowych okienkach zapaliły się żółte światełka. Po chwili z gardzieli komina wydobył się dym. Siwe kłęby płożyły się na wszystkie strony. Zawirowały nad dachem, złapały ciąg i skierowały się w górę.

Obejście i zabudowania gospodarcze nie wyglądały imponująco. Ogródek warzywny i sad otaczał drewniany płotek. W wielu miejscach brakowało w nim sztachet lub były one zbutwiałe. Do stajni przylegały dobudówki, pełniące role kurnika, składziku opału i magazynu nawozów. Na ścianie obory wisiała kosa i grabie. Całość zabudowań uzupełniała stodoła – metalowa konstrukcja pokryta falistą blachą. Pomiędzy budynkami wyrosły kępy pokrzyw i chwastów. Chaszcze, powoje i jeżyny rozrastały się tutaj w zastraszającym tempie.

W kaflowym piecu huczało. Rozłupane polana były dla ognia doskonałą pożywką – nasączone żywicą szczapy paliły się, radośnie trzaskając.

Sarah napełniła wodą naczynia i ustawiła je na rozgrzanym blacie. Centralne miejsce zajął aluminiowy czajnik. Rozległo się syczenie i spod garnków parsknęła para. Jak na komendę garnki, rondle, patelnia i sagan podskoczyły do góry i zatańczyły na rozżarzonej płycie.

Shirley leżała w łóżku i rozmyślała. W kamiennym domku, krytym słomianą strzechą nie widziała dla siebie przyszłości. Nie wyobrażała sobie siebie także jako dziedziczki gospodarstwa. Odrzuciła kategorycznie możliwość poślubienia kogoś, kto wiązałby swą przyszłość z rolnictwem. Takiemu kandydatowi powiedziałyby: NIE!

Jej wybranek musi być inteligentem. Urzędnikiem z teczką w dłoni. Szczupłym, wysokim i schludnie ubranym. Starannie ogolonym i pachnącym wodą kolońską. Takiemu kandydatowi powiedziałyby: TAK!

Marzenia o lepszym jutrze podtrzymywały ją na duchu. Nie raz i nie dwa traciła poczucie rzeczywistości i popuszczała wodzy nedorzecznym

fantazjom. Na przykład teraz, gdy oczami wyobraźni widziała własny domek z ogrodem.

Z kuchni poniżej docierał odgłos przestawianych garnków. W jej nozdrza wdarł się zapach smażonego bekonu, kawy i tostów. Zerwała się z łóżka. Zerknęła w lustro, sięgnęła po grzebień i zaczesła włosy. Przesunęła dłonią po policzkach, wyczuwając zgrubienia pod opuszkami palców. Zbiegła schodkami i weszła do kuchni. Ojciec, matka i Mary siedzieli przy stole, a przed nimi stały parujące miski owsianki. Na talerzu leżały plastry rumianego bekonu. Słychać było odgłos uderzających o zastawę sztućców, siorbanie i mlaskanie. Nagle powietrze przeszły przeraźliwy krzyk:

– Ratunku! Pomocy!

Jednocześnie jedzący usłyszeli dźwięk widelca upadającego na posadzkę, a potem z zawrotną szybkością na kota rzucił się pies. Walczące ciała zakotłowały się na podłodze, w powietrzu fruwała sierść.

– Mruczek podrapał mi nogę – powiedziała płaczącym głosem Shirley.

Kot mając świadomość, że nabroił, wyskoczył przez otwarte okno, a pies wymknął się na korytarz. Najprawdopodobniej Mruczek przyciął się pod krzesłem i widząc nabity na widelec plaster boczku, zręcznie go pochwycił. Wszystko zakończyłoby się szczęśliwie, gdyby nie kocie ostre pazury.

Po śniadaniu dziewczyny oporządziły krowy i zrobiły porządek w obejściu. Następnie udały się na przylegające do zagrody poletko, aby poskładać siano w kopy.

Kiedy Dermot dotarł na łąkę, słońce weszło już wysoko. Grabił suchą trawę w zwąły, zaciskając spracowane dłonie na kierownicy traktora. Grunt był grząski, więc ustawił tarcze grabiarki wyżej, pragnąc uniknąć zmieszania siana z grudkami błota.

Dziewczyny operowały grabiami z wprawą. Lepki pot spływał im po twarzy i plecach. Gryzący kurz pokrywał odkryte części ciała. Czasami zapiszczały, widząc umykające myszy; innym znowu razem wzdrygnęły się, gdy malutka żabka długimi susami pokonywała dystans dzielący ją od kanału. Nad nimi pojawiło się stado mew, które zanurkowały, opadły za traktorem, poszukując dżdżownic w świeżo poruszonej murawie.

Gdy po południu pojawiła się Sarah z koszykiem w dłoni, Mary i Shirley usiadły w cieniu drzew. Jak na zawołanie od kanału powiał kojący wietrzyk, potrząsając łodygami trzciny. W niedużej odległości od nich gromadka szaraków skubała trawę.

– Złapmy jednego i weźmy go sobie do domu – zaproponowała Shirley i pobiegła w ich kierunku. Po chwili trzymała w ręce trusia, tuląc go do policzka. Pogłaskała go po futerku. Biedactwo drżało, a serduszko było mu jak oszalałe.

– Zostaw go! Kiedyś ojciec przyniósł takiego do domu i wsadził do klatki. Próbowалаm pić go mlekiem, podsuwałaм marchewkę, sałatę – wszystko na nic. Po kilku dniach Dermot odniósł go w to same miejsce. Mam nadzieję, że odnalazł matkę – powiedziała Sarah.

Zajączek został puszczoney i pokicał ochoczo w kierunku zarośli.

Zajadali z apetytem pajdy razowego chleba posmarowane masłem, ugotowane jajka i popijali herbatą z fajansowych kubków. Po posiłku wyrzucili ptakom skórki pieczywa i skorupki z jajek.

Wieczorem, gdy siano już było bezpieczne w stodole, pogoda się zmieniła. Niebo pokryło się ołowianymi chmurami. W oddali rozległ się głuchy pomruk. Mżawka przekształciła się w ulewę.

Pies nastawił uszu. Instynktownie wyczuł zagrożenie i schował się w stodole. Miał słabość, której nie mógł przezwyciężyć: gromy i błyskawice przerażały go do nieprzytomności. Kiedy nadchodziła burza z piorunami, ogarniał go paniczny strach. Czasami chował się w najskrytszych zakamarkach i potem długo nie można go było znaleźć.

\*\*\*

Sarah posypała stolnicę mąką, rozwałkowała ciasto i podwinęła brzegi do góry. Tak ukształtowaną masę włożyła do formy posmarowanej tłuszczem, nakryła serwetą i odstawiła na parapet. Potarła dłonie, starając się pozbyć kleistej masy przywartej pomiędzy palcami. Wytarła stół i włożyła brudne naczynia do zlewu.

Shirley zamiotła ganek i uporządkowała porozrzucone obuwie. Skierowała się do kuchni, aby przepłukać ścierki.

– Porozmawiajmy – zaproponowała matka.

– Nie mam teraz czasu na pogaduszki! Muszę jeszcze umyć łazienkę, ogarnąć kuchnię i pościierać kurze – odpowiedziała niegrzecznie.

– Nie dąsaj się. Przyrzekam ci, że Mary nie wywinie się od sprzątnięcia w następną sobotę. Powinnaś ją zrozumieć. Ona pracuje i pomaga w gospodarstwie.

– Zapomniałaś dodać, że ona ma już własne pieniądze – odgryzała się córka.

– Zgadza się, ale ty dopiero co skończyłaś szkołę. Nie bądź niecierpliwa. Mary spotyka się z fajnym chłopakiem.

– Co ty nie powiesz? Co miesiąc z innym – powiedziała zgryźliwie Shirley.

– Ach, tamci nie byli poważnymi kandydatami. Jerry to ktoś. Nie mogę doczekać się wnuków, a ty z pewnością będziesz matką chrzestną.

– Hola, hola. Oni jeszcze nie są parą. Za daleko wybiegasz w przyszłość.

– Zostawmy to na razie. Co z tobą?

- Chciałabym pracować w biurze.
- To poważne wyzwanie. Byłabyś kimś. Zastanawiam się, jak do finansowego wsparcia twoich planów przekonać ojca?
- Może zaciągnęlibyście pożyczkę? Przysięgam, że oddam wszystko co do pensa.
- My tu gadu, gadu, a robota czeka. Lecę wydoić krowy.

Sarah zdawała sobie sprawę, że z Dermotem nie pójdzie jej łatwo. Krzykiem i dąsami nic się z nim nie działo. Potrzebna była cierpliwość i dyplomacja. Jej mąż był uparty, gdy ktoś próbował na nim coś wymusić. Pragnął bowiem uchodzić za człowieka, który samodzielnie podejmuje decyzje.

W stajni panował półmrok. Spod łukowatego sklepienia zwisała przybrudzona żarówka. We wnętrzu dominował zaduch i rozchodził się zapach bydlęcego łajna. Na ścianach perliła się wilgoć.

Gdy Sarah weszła do obory, krowy przekreśliły łby, rzucając w jej stronę pytające spojrzenia. Miały nadzieję, że przyniesie im ulgę, opróżniając ich nabrzmiąte wymiona. Nadszedł czas udoju. Zapachniało mlekiem.

Dermot był w pozytywnym nastroju. Dzisiejszy dzień uznał za pomyślny. Zebrali dobrej jakości siano, a i w gospodarstwie wiodło im się ostatnio nie najgorzej. Na dodatek żona szepnęła mu, żeby wykapał się i ogolił przed pójściem do łóżka. Krótkie kodowane słowa; wymowne spojrzenia; filuterny błysk zrozumienia. I chociaż był zmęczony, z chęcią zaakceptował propozycję gruntowej kąpieli.

Harówka dzisiejszego dnia dobiegała końca. Pozostała tylko sterta brudnych naczyń w zlewie. Z odrazą zanurzyła dłonie w mętnej wodzie. Szorowanie tłustych i przypalonych garów nie należało do jej ulubionych zajęć.

Sobota to czas kąpieli. Było tak, od kiedy pamiętała. Dawniej, gdy były jeszcze małe, matka stawiała wannę na środku kuchni. Najpierw myła im głowy, a potem kolejno wsadzała do wypełnionej wodą bali. Z tamtego czasu zapamiętała szczypiące oczy i smak mydlin w ustach. Teraz było inaczej. Łazienka stanowiła poważny skok cywilizacyjny, niosący w sobie *luksus* i posmak *lepszego świata*.

Podążała schodkami do swojego pokoiku pod dachem. Nic wielkiego: stolik, krzesło, łóżko, szafa, radio i regał na książki. Czasami miała dosyć niskiego sufitu, który powodował u niej klaustrofobię.

Nasłuchiwała odgłosów padającego deszczu, wychwytyjąc różnorodne uderzenia: krople dudniły o parapety i gzymsy; strumienie wody rozpryskiwały się o betonowe płyty; wtórowały im przytłumione pluśnięcia; grube krople bębniły o blaszane dachy.

Dżdżysta pogoda i powiewy wiatru spowodowały, że doznała uczucia odosobnienia. Wzniosła oczy ku bezgwiezdnemu niebu. Ufała, że gdzieś tam daleko – w bezkresnej oddali – tliła się dla niej iskierka nadziei.

Wsunęła się w otchłań pościeli i przymknęła oczy. Jej głowa wtopiła się w poduszkę, a ona... zasnęła.

Sarah słyszała odgłos zamykanych drzwi, poruszenie i szum wody w łazience. Zsunęła się z łóżka, szukając kapci. Nie znalazłszy ich podreptała na bosaka pod drzwi pokoju Mary.

– Jesteś? Wszystko w porządku?

– Tak, mam, dobranoć – wyszeptała córka.

Sarah chciała ją jeszcze o coś zapytać, ale zrezygnowała. Teraz pozostała jej tylko „inspekcja”:

– drzwi wejściowe – zamknięte;

– drzwiczki od pieca – przymknięte;

– zawór butli gazowej – zakręcony;

– budzik – nakręcony.

Mogła spokojnie zasnąć. Wszyscy byli w domu; wszyscy byli bezpieczni.

Pogasły światła. Welon ciemności otulił świat. Dzień przymknął powieki. Domek usnął w objęciach mroku.

\*\*\*

Niedziela; połowa lipca; wakacje. Shirley mogła pozwolić sobie na odrobinę lenistwa. Ułożyła się na boku i podkurczyła nogi. Miała na sobie flanelową koszulę z krótkimi rękawami. Odkryte ramiona i stopy stykały się z powierzchnią pościeli. Wszystko, począwszy od palców u stóp aż po końcówki włosów, było żywą tkanką, wrażliwą na bodźce.

Spłynęło na nią olśnienie. Jak grom z jasnego nieba dotarła do niej prawda. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?! Przecież ona posiada własne niepowtarzalne wnętrze – swoje indywidualne ego. O ile ciało utożsamiało się ze zmysłowością i zewnętrznym pięknem, o tyle dusza to coś bardziej wyrafinowanego. To źródło wysublimowanych przeżyć, uczuć i inspiracji.

Shirley wyglądała poważnie jak na swój wiek. Niektórzy myśleli, że jest starsza. Miała bystry umysł i łagodne usposobienie. Wszystko, co jej dotyczyło: głos, ruchy, duże jasno-brązowe oczy i włosy, tworzyło harmonijną całość.

Lubiła chodzić do szkoły i odrabiać prace domowe. W pierwszych klasach nosiła rzeczy starszej siostry, dlatego inne dzieci śmiały się z za dużego swetra, kurtki czy butów. Obecnie nosiła czyste i wyprasowane ubrania. Miała w zwyczaju modlić się i chodzić do kościoła. Była jak dotychczas nieskalanym stworzeniem. Pomimo młodego wieku, nie była



naiwna. Wiedziała, że nic jej nie przyjdzie łatwo, że wszystko kosztuje i że ma swoją wartość.

Przypomniała sobie, że miała sen. Składała siano w stogi. Cóż to oznacza? Wzięła do ręki książkę w twardej okładce. Widniały na niej wytłuszczone litery **SENNIK**, a nieco poniżej „*znaczenie snów*”. Wodziła palcem po tekście, zatrzymując go na haśle: „siano”. Znalazła kilka interpretacji, jednak koncentrowała się wyłącznie na tych, które ją interesowały.

*Siano: symbol zapowiadający minimalne korzyści z wszelkiej pracy.*

*Mieć piękne: ostrzeżenie przed złodziejami.*

*Wąchać: dobre zdrowie.*

*Stóg siana: korzyści.*

Żadnej sugestii; nic konkretnego, za to dużo sprzeczności.

Wyrzała przez okno. Promienie słoneczne przebijały się przez mgłę. Na łąkach utworzyły się rozlewiska i błotniste bajorka. Wiatr marszczył powierzchnię wody i pochylał żdźbła trawy do dołu. Zerknęła na zegarek. To już ta godzina?! Musi się ogarnąć przed pójściem do kościoła. Ubierze się gustownie. Żadnych krótkich spódniczek, kolorowych sweterków, czy wyzywających bluzek. Przymierzała ciuchy, przeglądała się w lustrze i obracała na boki.

W czasie wkładania i zdejmowania ubrań spostrzegła na ciele szpecące znaki. Trzy równoległe zadrapania powyżej kolana. Była to robota ostrych pazurków kota. Zadraśnięcia zdążyły przybrać postać zastrupianych ranek. Na ramieniu widniał spory krwiak. Zastanawiała się, gdzie się uderzyła, ale nie mogła sobie przypomnieć. Na łydkach widniały – odróżniające się od tonu skóry – ciemnoczerwone prążkowane smugi. Obie na tej samej wysokości. Dwie ciemne obwódki wokół goleni i łydek. Przesunęła palcem po przebarwionym pasemku. Skóra była szorstka, pod opuszkami wyczuwała pręgę. Doszła do wniosku, że to obtarcia pozostawione przez kalosze.

Generalnie wyglądała fatalnie. Poobcierana, poobijana, podrapana i do tego jeszcze trądzik. Coś się zaradzi. Puder, bluzka z długimi rękawami i rajtuzy załatwią sprawę. Musi jeszcze uprasować bluzkę i zjeść śniadanie. Zbiegła na złamanie karku po schodach.

– Pospiesz się, nie widzisz, która godzina?! – natarła na nią matka.

Żelazko było przypalone, więc Shirley nastawiła je na najwyższą temperaturę i przesunęła nim po gazecie – lepki osad zniknął.

Na patelni smażyły się kielbaski, plastry bekonu i kaszanka. Nałożyła sobie porcję i ukroiła chleba. Usiadła przy stole i połykała kęsy, o mało się nie dławiąc. Mruczek łąsił się o jej nogi i obserwował ją prosiącym wzrokiem.

– Mary zostanie w domu i zajmie się obiadem. Matko Boska, to już ta godzina?! – wyrzuciła z siebie Sarah. Wyciągnęła z lodówki poporcjowaną kaczkę i położyła na stole.

Ostatnim przygotowaniem towarzyszyła nerwówka. Sarah okupowała łazienkę, co nie podobało się Dermotowi.

– Siedzisz tam już pół godziny, a ja muszę do ubikacji! – krzyczał jak furiat, łapiąc gazetę i podążając do stajni. Po chwili powrócił, lecz ciągle był podekscytowany.

– Wychodź, bo pojedziemy bez ciebie! I pamiętaj, zgaś za sobą światło!

W końcu się zebrali. Shirley czuła dyskomfort z powodu pomiętej bluzki, choć nie było tego widać spod żakietu. Sarah była przyzwoicie ubrana, jednakże zapomniała książeczki modlitewnej i portmonetki.

Na poboczu drogi żerowały sroki. Przeskakiwały z nogi na nogę i wypatrywały smacznych kąsków. Szybkimi dziobnięciami wyłuskiwały nasiona, wyłapywały owady, robaki i ślimaki. Udany połów oznajmiały głośnym skrzeczeniem. Znad kanału przyleciała czapla. Zakołowała szerokim łukiem, obniżyła lot i wylądowała w wodzie. Za stacją kolejową wjechali na główną drogę. Dermot dodał gazu. Sarah poczuła się niepewnie i nerwowo ścisnęła torebkę. Zerknęła na licznik i wykrzyknęła:

– Zwolnij!

– Jesteśmy spóźnieni, poza tym jadę tylko...

– Wpadniemy do rowu! Dlaczego jedziesz tak blisko pobocza?!

Dermot zorientował się, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Samochód wytracił szybkość. Znajdowali się na podjeździe prowadzącym na most – XIX-wieczną kamienną budowlę wspartą na łukowatych podporach. Woda poniżej płynęła wartkim nurtem. Wokół filarów owinęła się trawa, zatrzymując gałęzie i śmieci.

Brzegi rzeki porastała trawa, krzaki i drzewa. Płaczące wierzby pochyliły się nad nurtem, muskając wodę długimi, delikatnymi gałązkami. W zamian za pieśczętę rzeka obmywała ich korzenie. W zakolach ciekłu roiło się od ptactwa i słychać było donośne kwakanie.

Przed kościołem nie było wolnego miejsca. Dermot skręcił w boczną uliczkę i dopiero tam zaparkował. Shirley i matka skierowały się w stronę świątyni. Sarah omal nie upadła, potykając się o wystającą płytę chodnikową.

Wkroczyły na wybrukowany dziedziniec. Ich oczom ukazał się neogotycki kościół zbudowany z ciosanego jasnego kamienia. Z boku stał celtycki krzyż. W środku placu znajdował się klomb obsadzony kolorowymi kwiatami. Kompozycja czerwonych szafwii poprzeplatanych żółtymi aksamitkami.

Shirley złapała za mosiężną klamkę i pchnęła drzwi. W kruchcie sączyło się światło. Głowy ludzi skierowały się w ich stronę. Przekroczyli drzwi wiodące do nawy. Kościół był szczelnie wypełniony. O miejscu do siedzenia mogły tylko pomarzyć. Shirley zauważyła poruszenie w przedniej ławce. Pchnęła matkę w tamtym kierunku.

– Idź, Rose zrobi ci miejsce – powiedziała.

Sarah z trudem przełykała ślinę. Jak tam dotrze? Którędy? Przez środek kościoła? Jak przebije się przez ciżbę ludzi? Poczła dziesiątki oczu skierowanych w swoją stronę. Wydawało jej się, że jest obiektem zainteresowania wszystkich, wyłączając w to księdza. Poczła ucisk w żołądku, niemoc ogarnęła jej nogi. Zebrała się na odwagę i ruszyła do przodu.

Na mównicę wszedł kaznodzieja. Uderzył dłonią w mikrofon i omiółt ludzi pogodnym wzrokiem. Po chwili z głośników popłynął głos księdza Marka. Jego słowa przesycone były miłością i uwielbieniem do Boga. Kapłan był mistrzem retoryki. Mówił krótko, zwięźle i na temat. Jego głos wibrował w powietrzu i przybierał intonacje w zależności od przekazywanych treści.

Shirley spijała słowa z ust księdza. Napawały ją nadzieją, wskazywały właściwą drogę i przestrzegały przed złem. Mówił pięknie, przekonująco i tak sugestywnie dobierał wyrażenia, że bez trudu znajdowały one drogę do jej młodego serca.

– (...) Kiedy kiedyś staniecie na rozdrożu, zwróćcie się do Pana i poproście go o wskazanie właściwej drogi. On was nie zawiedzie. Nawet na najprostszej drodze możecie zablądzić, a zagubiona owieczka jest łatwym celem w świecie, pełnym pozbawionych skrupułów drapieżców. Zło czai się tam, gdzie najmniej się go spodziewacie. Niech Bóg da wam siłę w przewyciężaniu codziennych trudności. Amen!

Podczas przemówienia panowała cisza. Ludzie wstrzymali oddech; niektórzy słuchali z otwartymi ustami, pełni podziwu dla oratorskiego kunsztu. Pomimo parnego dnia, braku miejsca do siedzenia i ścisku, Shirley uznała, że warto było tutaj przyjść dla tego kazania. A przecież to nic innego, tylko słowa. Wyrazy, które zna większość ludzi. Prawdziwe mistrzostwo polegało na tym, aby operować nimi w taki sposób, żeby wprawiały w zachwyty.

Ponownie doznała olśnienia. Odkryła nowe prawdy. „Uwierzyć w siebie”, „wziąć sprawy we własne ręce”, „twój los zależy od ciebie”. Przymknęła oczy. Popadła w zadumę. Marzyła, a przecież zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Czas zatem powrócić na ziemię i skupić się na modlitwie.

Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Słońce sączyło się przez witraże, kładąc kolorowe cienie na ludzkich głowach. A kogóż tutaj nie było: niewiasty o pogodnych twarzach i ponurzy starcy z siwiejącymi włosami. Damy w modnych strojach i panowie w eleganckich garniturach. Kobiety i mężczyźni ubrani w pospolite szaty. Panny i kawalerowie; dziewczynki i chłopcy; biedni i bogaci. Młodzi i dorośli z różnych szczebli społecznej drabiny: inteligenci, robotnicy i chłopi. Tłum połączony wiarą. Wszyscy zgromadzili się tutaj, aby szukać natchnienia w kamiennych murach.

Wnętrze kościoła było pomalowane na jasny kolor. Na suficie łuszczyła się farba, a na bocznych ścianach pojawiły się pęknięcia. Świeczki osadzone w lichtarzach rzucały złociste blaski. Kopciły knoty. Ogniki drżały i chwiały się, poruszane delikatnymi powiewami powietrza.

Msza dobiegła końca. Wierni opuszczali kościół. Masa ludzka przekształciła się w szeroką strugę rozlewającą się na wszystkie strony. Jedni pospiesznie opuszczali dziedziniec, podczas gdy inni przystawali, tocząc między sobą ożywione rozmowy. Dominowały pozdrowienia i zapytania o zdrowie; pogaduszki na odwieczne tematy, dotyczące pogody, rodziny i bieżących wydarzeń.

Rose była przyjaciółką Shirley. Mieszkały na tym samym zaścianku. W nędznych domkach usytuowanych pomiędzy kanałem a linią kolejową. Koleżanka była dzisiaj schludnie ubrana. Włosy starannie ułożone w pukle. Odwieczna bladeść i zmęczenie zniknęły; cera nabrała świeżości; policzki poróżowiwały; oczy świeciły radosnym blaskiem. Zupełnie inna dziewczyna od tej, którą dotychczas znała. Od kiedy bowiem sięgała pamięcią, zawsze utożsamiała Rose ze smutną osobą.

Zachowanie Rose uległo zmianie. Negatywne nastawienie zniknęło. Twarz wypogodziła się, a na ustach zagościł uśmiech. Shirley mogła to wytłumaczyć tylko w jeden sposób: dziewczyna się zakochała.

Przed wścibskimi nic się nie ukryje. Ktoś coś zobaczył; ktoś inny – usłyszał. Ludzie kojarzyli fakty i składali je w całość. Po okolicy gruchnęło: Rose spotyka się z tajemniczym mężczyzną. Był to przystojny chłopak. Pochodził z „dużego miasta”. Przyjeżdżał motorem ubrany w kombinezon i kask.

Shirley pomyślała z troską o przyjaciółce. „Tak wielu żeruje na naszych słabościach” – przypomniały jej się niedawno słyszane słowa. Postanowiła pociągnąć przyjaciółkę za język.

– Nie bądź tajemnicza. Zwierz się koleżance.

– Wieczorem przejdziemy się nad kanał – zaproponowała Rose.

Było parno i duszno. Oddychało się z trudem. Pot perlił się na czołach. Ubrania lepiły się do ciała. Dermot przekreślił kluczyczek w stacyjce, ale

rozrusznik tylko jęknął. Spróbował raz jeszcze. Pod maską rozległ się zamierający odgłos. Coraz słabszy, by po chwili umilknąć.

– Co za przekłety grat! – wydusił z siebie. Jego oczy rzucały złowrogie błyski. Walnął dłońmi w kierownicę. Wysiadł i kopnął w oponę.

– Uspokój się, furiacie! Nie rób widowiska. Pchniemy tego rupiecia – zaproponowała Sarah.

Zasapani wracali do domu. Shirley spojrzała na rodziców. Na zwichrzone włosy ojca. Pomarszczoną, porowatą skórę na opalanej szyi. Twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Zasuszone wągry tkwiły pod skórą. Obserwował drogę spod krzaczastych brwi.

Matka pełna była wewnętrznego napięcia. Zaciskała dłonie i pocierała palce. Policzki zarumieniły się, a usta przybrały rubinowy kolor.

Jej beztroskie rozmyślania zostały brutalnie przerwane. Samochód zahamował i zatrzymał się na środku drogi. Dermot wyskoczył na zewnątrz. Matka krzyknęła:

– Mój Boże!

Serce Shirley podskoczyło do gardła, myśląc, że ojciec kogoś potrafił.

Patrzyły na to, co Dermot wyprawiał. Zdębiały z wrażenia. Na poboczu drogi leżała gałąź, którą pochwycił i ciągnął w stronę samochodu.

– Wsiadaj! – rozkazał Sarah.

Ta nie protestowała. Spojrzała tylko na męża nieprzyjaznym wzrokiem.

– Całkiem mu odbiło – wyszeptala.

Wsadził konar pomiędzy lukę pomiędzy przednimi siedzeniami, popychając go do tyłu. Odłamki próchna rozsypały się na podłogę i deskę rozdzielczą. Gałąź zajęła miejsce od tylnego siedzenia aż po przednią szybę.

Gromadzenie opału było obsesją Dermota. Kupował węgiel, wysuszony torf, czy drewno i gromadził je na „czarną godzinę”. Woził do domu gałęzie, drewniane skrzynki, deski i okienne framugi – słowem wszystko, co nawinęło mu się pod rękę i mogłoby zostać wykorzystane do palenia. W jego mniemaniu przyczyniało się to do oszczędności prądu.

Dzisiejsza, pełna przygód, wyprawa dobiegała końca, ale to nie oznaczało, że limit niespodzianek się wyczerpał.

Zapach pieczonego mięsa i kapusty rozchodził się w powietrzu. Na podłodze leżały porzucane obierki. Z garnków kipiło, a pomieszczenie tonęło w parze.

– Co się tutaj dzieje?! Czy zdajesz sobie sprawę, która jest godzina?! – wykrzyknęła Sarah.

Mary tłumaczyła, że nie słyszała budzika, by w końcu obarczyć winną Mruczka.

– Co z tym wszystkim ma wspólnego kot?

– Zżarł mięso – bąknęła Mary.

W głowie Shirley zaskoczyła klapka. Krótki błysk olśnienia. Najwidoczniej pozostawione na stole mięso padło łupem kota. Sarah najprawdopodobniej doszła do tych samych wniosków.

– Powiedz mi, co się stało?

– Wstałam i weszłam do kuchni, żeby nastawić obiad. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to tłusta plama na podłodze. Gdy się jej dobrze przypatrzyłam i powiodłam wzrokiem po śladzie, zauważyłam Mruczka w kącie. Popatrzył na mnie nieprzyjaznym wzrokiem. Kiedy się do niego zbliżyłam, groźnie na mnie fuknął. Na szczęście zadowolił się tylko nogą.

– Dzięki Bogu! Dziewczyny, bierzemy się do pracy. Pozamiatajcie podłogę i otwórzcie okna, bo się podusimy – zaordynowała władczym głosem Sarah.

Shirley miała wiele powodów, aby się pospieszyć. Po pierwsze, przyjeżdżał do nich wujek Barry i była ciekawa, co ważnego ma do zakomunikowania. Po drugie, pragnęła wygospodarować czas, aby pospacerować z Rose nad kanałem i dowiedzieć się czegoś o jej wielbielcu.

Na początek zbieranie jajek. Pochwyciła wiklinowy koszyk. Przemieszczała się od gniazda do gniazda, układając jajka jedno na drugim. Przemierzając podwórze, natknęła się na gęś, która groźnie na nią zasyczała. Chcąc uniknąć konfrontacji, przyspieszyła kroku, potknęła się i omal nie upadła. Cudem utrzymała się na nogach. Zapewne komicznie by wyglądała umazana żółtym koktajlem.

Wytarła szmatką pobrudzone skorupki i włożyła jajka do tekturowych pojemników. O czymś takim jak chwila odpoczynku mogła tylko pomarzyć. Musiała jeszcze uporządkować kuchnię i umyć nagromadzone w zlewie naczynia.

\*\*\*

Barry był bratem Dermota. Wyglądał jak rugbista. Mężczyzna usadowił się wygodnie w fotelu, delektując się poobiednią kawą. Preferował markę Arabeska, gdyż uważał ją za bezkonkurencyjną w stosunku do innych gatunków. Rozkoszował się jej smakiem, mlaskając przy tym językiem. Odnosiło się wrażenie, że popija gęsty czarny syrop. Według Barry'ego, kawa powinna być dobrze posłodzona. W jego mniemaniu pomagało mu to dogłębniej dotrzeć do wyrafinowanego smaku.

– Świat idzie z postępem, ale mój brat tego nie dostrzega. Staralem się go nakłonić, aby zmechanizował swoje gospodarstwo. Gdzie tam! Nie posłuchał. Uparty osioł – zwrócił się Barry do syna. Przerwał i pociągnął łyk kawy. Przetrzywał płyn w ustach, delektując się nim. Westchnął i kontynuował.

– Oprócz Mary, chciałbym zatrudnić u nas także Shirley. Co o tym sądzisz Carl?

– Myślę, że to ci się nie uda.

– Dlaczego?! – zapytał, spoglądając na syna z ukosa.

– Shirley pragnie kształcić się na sekretarkę.

– Co ty nie powiesz? Żarty sobie stroisz? Niech skonam! Ta nowina powala mnie z nóg. Ambitne bestie. Chcą przeskoczyć z hołoty do inteligencji – parsknął śmiechem.

Stół na chwiejnych nogach został wyciągnięty na środek kuchni. Sarah sięgnęła po talerz z pokrojonym plackiem i postawiła go na środku blatu. Rozstawiła talerzyki i sztućce. Nalała mleka do porcelanowego dzbanuszka. Zlustrowała wykonaną przez siebie pracę. Dostrzegła drobne niedociągnięcia. Obrus utworzył fałdę, więc naciągnęła materiał i wygładziła go dłonią. Wzięła szmatkę do ręki i szybkim ruchem strząsnęła kurz z nakrycia.

Jaskółki wykonywały w powietrzu zwroty i przekręcały się na boki. Łapały w locie insekty i krople wody. W zbudowanych z gliny, błota i żdzbeł trawy gniazdach czekały na nie wygłodniałe pisklęta z otwartymi dziobkami. Maluchy miały niezaspokojony apetyt i głośnym kwileniem upominały się o dodatkowe porcje. Dermot obserwował ptaki, dochodząc do wniosku, że ich wysokie loty zwiastowały poprawę pogody.

Land Rover wytracił szybkość i skręcił w wąską dróżkę. Samochodem zarzuciło; zachrzęścił żwir pod potężnymi kołami. Błotnista breja chlusnęła na wszystkie strony. Buchnęła para z rury wydechowej. Wjechali z impetem na wiejskie podwórze. Zazgrzytały klocki hamulcowe i pojazd się zatrzymał. Zakołysało nim na boki.

– Ależ ta maszyna ma kopa! Czujesz to?! – wykrzyknął podekscytowany Carl.

Rodzic nie podzielał entuzjazmu syna.

– W drodze powrotnej ja będę kierował. Pozabijas nas jeszcze kiedyś. Śmiertelnie wystraszyłeś większość zwierząt w tym gospodarstwie. Sarah udzieli nam reprimendy. Ma dynamikę, mówisz? Ma kopa? Już wyobrażam sobie ich miny.

Rozpierała go duma. Jego próżność została zaspokojona. Wkrótce nadejdzie pora wykazać się wielkodusznością.

W ich żyłach płynęła ta sama krew. Obaj zostali zrodzeni z tych samych rodziców. Ich ojciec był miłośnikiem koni. Niestety pijaństwo doprowadziło jego wątrobę do takiego stanu, że zmarł kilkanaście lat temu. Matka po okresie żałoby poślubiła bogatego wdowca, przenosząc się z nim do północnej części Irlandii. Bracia uściśnieli sobie dłonie. Nie było widać w ich zachowaniu wylewności.

– Pokażę ci konie – zaproponował Dermot.

Podeszli do ogrodzenia skonstruowanego z sosnowych żerdzi. Barry popatrzył na konie z rozrzewnieniem. Kucyki skubały trawę. Jeden z nich podniósł do góry głowę i popatrzył na nich pytającym wzrokiem.

– Śliczny konik, o ten tam – powiedział Barry, wskazując palcem.

– Ma swoje humorki. Czasami nieźle bryka. Dziewczyny nazwały go Dumny Księżę, bo stąpa i kroczy z powagą. Natomiast ten drugi to Łagodny Wietrzyk.

– Widzę, że zająłeś się hodowlą koni na dużą skalę, ile ich teraz masz?

– Pięć. Te, które widziałeś, plus wałach, który pasie się na łące.

– Co na to Sarah?

– Narzeka, jak to kobieta.

Barry miał zasady – nigdy nie przyjeżdżał w odwiedzinie z pustymi rękami. Domownicy zatem oczekiwali go z dreszczykiem podniecenia. Byli ciekawi nie tylko tego, co ma im do zakomunikowania, ale także, jakie przywiózł prezenty. Każdy lubi być obdarowywany, nawet gdy są to niewiele znaczące drobiazgi.

Rozpoczął się ceremoniał wręczenia. Barry wyciągnął z torby zawiniątko opakowane w woskowany papier. Były to wyroby wędliniarskie i karkówka. Prezent był przeznaczony dla całej rodziny. Nadeszła pora na indywidualne rozdania: dwie tabliczki czekolady z bakaliami, dwa pudełka pralinek i pokaźna kiść bananów – dla dziewczyn; puszka kawy, pudełko kakao i rajstopy – dla Sarah; opakowanie tytoniu Virginia, gilzy papierosowe, maszynka do nabijania i zapalniczka – dla Dermota. Wydawało się, że to już wszystko, ale Barry uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Mam dla ciebie coś ekstra. Chodź ze mną – zwrócił się do Dermota.

Wyszli na zewnątrz. Barry otworzył drzwi bagażnika.

– Wyładuj. Przydadzą ci się, prawda?

– Jak znalazł – odpowiedział Dermot, wyciągając drewniane skrzynki i rzucając je pod ścianę budynku.

Barry tymczasem znalazł pudełko tanich cygar. Ważył je w dłoni i zastanawiał się, czy nie rozdzielić zawartości paczki i podarować bratu kilka sztuk, a drugą część zachować i wręczyć mu przy następnej okazji. Doszedł jednak do wniosku, że to nie przystoi.

Zasiedli przy stole. Barry rozwalił pulchne cielsko w fotelu. Pączusie – tak ich nazwała Mary i od razu wszyscy pochwycili to trafne skojarzenie. Znaczyło to mniej więcej to, że cała rodzina: Barry, jego żona i synowie: Carl i Daniel mieli charakterystyczną, wyróżniającą ich cechę: policzki przypominające kształtem i barwą wysmażone pączki.



Ogień wesoło buzował w piecu; płomienne języki pożerały opał; sosnowe szczapy trzeszczały. Żółtawe przeblęski ognia mrugały poprzez szpary w kuchennych płytach i nieszczelne drzwiczki.

Sarah była uznaną mistrzynią w robieniu nalewek. Często częstowała gości własnoręcznie przygotowanymi trunkami. Do ich konsumpcji używała smukłych kieliszków na długiej nóżce, nazwanych przez nią pieszczotliwie: „lufkami”. Jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, na stole pojawiła się pękata butelka. Na pytanie, czy nie mieliby nic przeciwko temu, by napić się po „lufce”, Carl i Barry odpowiedzieli: TAK. Jednocześnie Barry zaznaczył, że Carl może wypić tylko jeden kieliszek. Ewentualnie dwa.

Dermot pił alkohol okazjonalnie, Shirley była niepełnoletnia. Tak więc tylko cztery osoby uczestniczyły w *degustacji* trunku. Sarah połała kolejkę. Dla siebie, Barry’ego i Carla po całym kieliszku, a dla Mary połowę. Wychylili po „lufce”, przy czym Mary tylko zamoczyła usta. Barry głośno mlasnął jęzorem.

Alkohol pobudził apetyt. Jak na zawołanie wyciągnęli dłonie po kawałki placka. Kieliszki krążyły pomiędzy Sarah a Barrym. Pili równo. Mężczyzna uznał, że trunek nie wyrządzi mu krzywdy. Nie miał pojęcia, że był w błędzie. Fakt, nalewka była słodka, ale miała ukrytą moc. Słodki alkohol działał podstępnie, ogarniając niemocą dolne partie ciała – przede wszystkim nogi.

Sarah, widząc, że nic nie pozostało na stole, wyciągnęła z kredensu rondel, wlała do niego olej i postawiła na pieca. Shirley wyplukała podarowaną karkówkę, pokroiła ją na kawałki i oprószyła solą, pieprzem i papryką. Poszatkowaną cebulę i czosnek razem z mięsem wrzuciła do garnka i przykryła go pokrywką.

Dermot wbił wzrok w jeden punkt i przeżuwał placek. Od czasu do czasu zbierał rozsypane kruszynki, pilnując, by nic się nie zmarnowało.

Sarah kręciła się wokół gości, starając się zaspokoić każdą ich zachciankę.

Zamglone oczy; rozpalone policzki; bełkotliwy głos i chwiejny chód. Tak wyglądał Barry po godzinie pobytu u brata. Zerknął na zegarek i wyjawiał z czym tutaj przyjechał. Punkt po punkcie. A wyglądało to mniej więcej tak: Carl żeni się w październiku. Wkrótce wyjdą zapowiedzi. Najlepsza restauracja zarezerwowana; najlepsza kapela zaklepana. Wybranka Carla jest córką rzeźnika. Co za pomyslny zbieg okoliczności! Rodzinny biznes będzie kontynuowany.

– Wypijmy po „lufce” – zaproponowała Sarah, jednocześnie myśląc: „chwalidupa”.

Gdy wypili, Barry otarł usta i przeszedł do kolejnego zagadnienia. Ze wstępnych obliczeń wynika, że na weselu będzie stu dwudziestu gości. To

poważne wyzwanie organizacyjne. Wspomniał, że jest zainteresowany pozyskaniem dobrej jakości produktów. Krótko mówiąc, chciałby nabyć od nich cielaka, dwa tuczniki, kury, kaczki i sporą ilość jajek. Najlepiej kaczych, bo te według jego żony najlepiej nadają się do wypieków. Przerwał monolog i wciągnął nosem powietrze. Właśnie w tym momencie Shirley podniosła pokrywkę garnka i zapach duszonej karkówki rozszedł się po kuchni.

Nadszedł czas na pieczyste. W błyskawicznym tempie rumiane kawałki mięsa znikwały w wygłodniałych żołądkach. W ciągu kilku minut po smacznych kąskach pozostały wspomnienia i... tłuste plamy na obrusie.

– Palce lizać, co za smak – zachwycił się Carl.

– Teraz czuję się syty – wtórował mu Barry, wycierając usta serwetką. – Jednego, czego mi brak do pełni szczęścia, to filiżanka kawy.

– Zaraz ci przygotuję – zaferowała się Sarah.

– A teraz porozmawiamy o Shirley – rzucił mimochodem Barry.

– O mnie?! – wykrzyknęła dziewczyna.

– Mam dla ciebie pracę.

– Nie mąć jej w głowie. Ona musi się uczyć – zaprotestowała Sarah.

– Jedno drugiemu przeszkadza? Mało to szkół wieczorowych? Dziewczyna będzie zarabiała pieniądze i jednocześnie się uczyła.

– Co to za praca? – zapytała Shirley.

– Proste zajęcia: sprzątanie, mycie, pomoc w masarni. Z czasem, gdy zdobędziesz doświadczenie, możesz zostać kierowniczką sklepu.

– Ile łyżeczek cukru? – zapytała Sarah.

– Cztery. Co ty trzymasz w dłoni?! – wrzasnął, jakby zobaczył ducha.

– Kawę – odpowiedziała zaskoczona Sarah.

– Czy wy pijecie Arabeskę? Podaj mi ten pojemnik, bo nie uwierzę. To się w głowie nie mieści – wziął do ręki brunatny słoik i wpatrywał się jak urzeczony w złociste litery.

Sarah obróciła się i udawała, że czegoś szuka w kredensie. Otwierała i zamykała drzwiczki; wysuwała i wsuwała szuflady. Oparła się o blat łączący górny i dolny segment mebla, pochyliła głowę i ugięła ręce w łokciach. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu. Powód jej rozbawienia był prosty. Pewnego dnia poprosiła Mary, aby kupiła cukier. Niestety jedna z torebek się rozerwała. Córka przesypała cukier do szklanego pojemnika znalezionego w domu Barry'ego. W ten sposób słoik po kawie znalazł się w ich domu. Sarah nieskoro wyrzucała pożyteczne rzeczy, a pewnego dnia przesypała do tegoż pojemnika najtańszą kawę.

Pikantne docinki towarzyszyły Mary, gdy udawała się na randkę.

– Wymalowała się jak lala – cmokał Barry.

- A jak się wyperfumowała, czujecie? – wtórował mu Carl.
- Wystroiła się i włożyła za krótką sukienkę. Prowokatorka – pogroził jej palcem wujek.
- Dajcie spokój dziewczynie! Jerry to porządny chłopak. Pojadą do kawiarni na ciastko i kawę – broniła córkę Sarah.
- Kto ich tam wie, ciociu – wyraził wątpliwości Carl.
- Nie kpiluj, bo ci już nie naleję – powiedziała karcząco.
- On już swoje wypił! Basta! – zaprotestował Barry, uderzając pięścią w stół.
- Wypiłem tylko jeden kieliszek – odgryzał się Carl.
- Nie róbcie ze mnie durnia!

Syn z niepokojem obserwował ojca. Z doświadczenia wiedział, że po alkoholu rodzic staje się agresywny. Kto wie, co za chwilę strzeli mu do głowy.

Dermot poprosił bratanka, aby pomógł mu zanieść do stajni garnek z wodą.

Shirley w tym czasie udała się do pokoju.

Na taki moment czekała Sarah. Chciała odegrać się na szwagrze. Otworzyła kredens i wyciągnęła butelkę trunku. Odkręciła nakrętkę i nalała do szklanek różowego płynu. Wręczyła jedną z nich Barry'emu.

– Wypijmy. Ten trunek trzymam dla specjalnych gości. Salut!

Stuknęli się; zadzwoniło szkło o szkło i Barry haustem opróżnił zawartość szklanki. Sarah tymczasem ledwie zamoczyła usta.

– Na zdrowie – powiedziała, klepiąc Barry'ego po ramieniu.

Zaprawione spirytusem wino potrafi zwalić z nóg każdego. Nawet mężczyznę o posturze rugbisty.

\*\*\*

Wiejskie podwórko nie jest wzorem czystości i daleko mu do ideału. Na ziemi leżało ziarno wymieszane z błotem. Pod ścianą obory poniewierało się wiadro i dziurawy garnek. Na haku przytwierdzonym do muru wisały łańcuchy, powrozy i sznurki. Gdzie indziej jeszcze sterczały nadziane na sztachety ocynkowane konwie, a obok nich przepłukane szmaty.

– Dobrze wam tutaj się żyje, wujku? – zapytał Carl.

– Nie najgorzej – odpowiedział Dermot z wyrazem zadowolenia na twarzy. Właśnie zaciągał się podarowanym przez brata cygarem. – Dobrze, łagodne. Nie piecze w gardle ani nie szczypie w język, ale wracając do twojego pytania. Wiejskie życie ma swoje uroki. Twoja ciocia posiada zamiłowanie do piękna. Sarah hoduje dzikie kaczki, kurki-liliputki, perliczki, indyki, a ostatnio dochowała się gęsi z wysmukłymi szyjami.

Karmimy zwierzęta naturalną paszą: zbożem, trawą, sianem, pastewnymi burakami i kiszonkami.

– Kiedyś ciocia przywiozła nam kaczkę. Mama nafaszerowała ją suszonymi owocami, a następnie upiekła. Mówię ci, niczego smaczniejszego w życiu nie jadłem.

Carl zerknął na zegarek, wszedł na ganek, otworzył drzwi na korytarz i krzyknął:

– Już czas! Zbieraj się!

Odczekał chwilę, a następnie przyłożył zwiniętą w lejek dłoń do ucha. Nasłuchiwał. Bez odzewu – kompletna cisza.

– Zobaczmy, co się tam dzieje – powiedział zaniepokojony.

Gdy wkroczyli do kuchni, ukazał im się niecodzienny widok. Głowa Sarah spoczywała na splecionych dłoniach opartych na stole. Barry siedział w fotelu, z głową odchyloną do tyłu i otwartymi ustami. Oboje spali. Dermot szturchnął Sarah w ramię. Zerwała się jak oparzona. Spuściła oczy i wyszeptwała:

– Zaraz pójdę wydoić krowy. Tylko chwilę się zdrzemnę – szepnęła i podreptała do sypialni.

– Ten wieczór mam z głowy. Osiem krów do wydojenia, wyobrażasz sobie?

– Spójrz na ojca. Jest kompletnie zalany. Spił się jak świnia; wygląda jak nieboszyk. Wstawaj! Jedziemy do domu.

Twarz Barry’ego drgnęła. Przez grube, opancerzone drzwi, gdzieś z bezkresnej oddali, docierały do niego przytłumione głosy. Coś jakby: żeby się pospieszył, bo już jest za późno. Za późno? Na co? Co to, do cholery, było? Czyżby rzeczywiście ktoś go wołał? Poza tym, gdzie on jest i co tutaj robi? Myśli mu się mąciły. Znajdował się w narkotycznym śnie. Uniósł ciężkie powieki i powiódł zamroczonym wzrokiem dokoła, ale nic nie potrafił rozpoznać – tylko zamazane kontury. Spróbował podnieść się z miejsca, ale niewidzialna siła przytwierdziła go do fotela.

– Puśćcie mnie! Dlaczego mnie trzymacie? Czego ode mnie chcecie? – mamrotał, machając rękami.

Carl klepnął go w policzek. Dermot nalał do garnuszka wody i maczając dłoń, chlusnął mu w twarz. Barry zareagował, otworzył powieki i wybałuszył oczy jak zarzynany wół.

Wzięli go pod ramiona i wywlekli na zewnątrz jak worek ziemniaków. Barry szorował nogami po podłodze, zgarniając za sobą dywaniki. Położyli go przy samochodzie. Carl otworzył drzwiczki i opuścił oparcie siedzenia. Nie bez trudu wtaszczyli go do jeepa, przypinając pasem bezpieczeństwa.

Veronika – żona Barry’ego – była z natury bojaźliwa. Z byle jakiego powodu wpadała w panikę. Dzisiaj nie było inaczej. Czowała się nieswojo i nie

potrafiła znaleźć sobie miejsca. Snuła się z kąta w kąt; przechadzała się z pomieszczenia do pomieszczenia; otwierała i zamykała drzwi; co chwilę podchodziła do okna. W końcu jej cierpliwość się wyczerpała. Złapała za słuchawkę i wybrała numer. Nic. Rozdygotanymi rękami, bliska ataku hysterii, jeszcze raz zadzwoniła. Znowu nic. W słuchawce słyszała wolny sygnał.

– Odbierzcie wreszcie, do jasnej cholery! – krzyknęła.

Sarah leżała w łóżku pogrążona w głębokim śnie. Jej kontakt zmysłowy z zewnętrznym światem był zerwany, dlatego też nic nie mogła usłyszeć. Nawet dzwonka telefonu.

Shirley zaszyła się w pokoiku. Położyła się do łóżka, ziewnęła, zamknęła powieki i znalazła się w objęciach Morfeusza. Po chwili coś ją obudziło. Słyszała szuranie i sapanie, przeplatane soczystymi przekleństwami. Zerwała się z łóżka. Ubrała buty i zbiegła w dół. Powietrze przeszył wibrujący dźwięk telefonu. Stało się to tak niespodziewanie, że omal nie skamieniała z przerażenia. „Któż to może być i to właśnie teraz? Może to Rose?” – zawahała się na ułamek sekundy. Doszła do wniosku, że telefon może poczekać i skierowała się w stronę drzwi. Spóźniła się dosłownie kilka sekund. Samochód minął bramę i skierował się na drogę.

– Nie zdążyłam się z nimi pożegnać – powiedziała do ojca.

– Wujek nie będzie miał ci tego za złe, gdyż razem z matką wypili o jeden kieliszek za dużo.

Dźwięk telefonu ponownie przeszył ciszę jak ostra strzała. Shirley była przekonana, że to Rose. Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i krzyknęła:

– Czego ty, do jasnej cholery, chcesz? Dzwonisz i dzwonisz!

Veronika znajdowała się na krawędzi hysterii. Jej pesymistyczne przypuszczenia przekształcały się w pewność, że wydarzyła się tragedia. Zdesperowana do granic ostateczności poprosiła Daniela, żeby pojechał sprawdzić, co się dzieje. Syn przyrzekł jej, że po meczu wsiądzie w samochód i pojedzie, jak się wyraził, na to „zadupie”. Veronika jeszcze raz wykręciła numer. Tym razem, ktoś podniósł słuchawkę, ale to, co usłyszała, spowodowało, że zaniemówiła.

Shirley słyszała przyspieszony oddech po drugiej stronie linii. Mogłaby przysięgnąć, że Rose stroi sobie z niej żarty.

– Odezwij się w końcu zakochana dziwko!

Po chwili usłyszała drżący głosik cioci:

– Shirley...?!

– Przepraszam ciociu myślałam, że Rose urządza sobie żarty – wyjaśniała zażenowana.

– Co u was słychać?

Shirley pokrętnie się tłumaczyła.

– Właściwie, to nic. Wujek przyjechał i przywiózł nam prezenty. – „Co by tu jeszcze wymyślić?” – kombinowała.

– Czy mogłabym porozmawiać z mężem?

Shirley poczuła wewnętrzne napięcie. „Co jej odpowiedzieć?” – myślała gorączkowo. Chciała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Oni już pojechali do domu – wypaliła.

Na tym rozmowa się zakończyła, Shirley odetchnęła z ulgą. Czowała satysfakcję, bo w gruncie rzeczy nie skłamała.

Jeep wjechał na podwórze. Z samochodu wyskoczył Carl i podbiegł do okna. Gestykulował rękami. Pokazywał na auto, ale Veronika nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Zawołaj Daniela, potrzebna mi jego pomoc. Ojciec... – dotarło do niej. Tknęła ją złe przeczucie.

– Pospiesz się! Carl cię woła.

Daniel oglądał mecz, który wchodził w decydującą fazę. Walnął pięścią w oparcie fotela.

– Dom wariatów! – wykrzyknął.

Wyczuł od ojca alkohol i domyślił się, co się wydarzyło. Bracia chwycili rodzica pod pachy i wciągnęli do domu. Barry był ciężki i nieporęczny do niesienia, więc dla złapania oddechu położyli go na podłodze w przedpokoju.

– Co z nim?! Czy trzeba wezwać lekarza? – histeryzowała Veronika.

– Jedzie od niego jak z gorzelni. Upili go samogonem – stwierdził Daniel.

– Piliśmy tylko nalewkę – oponował Carl.

– To podstępna żmija! Ja jej pokażę! – odgrażała się Veronika. – Wnieście go, do pokoju i połóżcie na łóżku, bo jeszcze się przeziębi dziadyga. Gdzie są jego buty?!

– Pewnie się zapodziały, jak ciągnęliśmy go do samochodu.

– Co ty wygadujesz?! – krzyknęła.

– Targaliśmy ojca jak wór ziemniaków, bo nie był zdolny poruszać się samodzielnie – wybąkał Carl.

– Na pewno Sarah dołała czegoś do alkoholu. Teraz triumfuje, że nas upokorzyła. Mówię wam: strzeżcie się ich. To diabelska familia.

Długo nie mogła dojść do siebie. W jej rodzinie pokazywały się pęknięcia i skazy. Taki wstyd! Od początku małżeństwa wychowywała męża na porządnego człowieka, ale jak widać, na nic się to zdało. Dzisiaj po raz enty wyszedł z niego pospolity prostak.

\*\*\*

Shirley wybrała się do Rose. Przechodząc obok płotka, rzuciła spojrzenie na ogródek. Kiedyś było to dobrze zagospodarowane miejsce, w którym uprawiali warzywa, ziemniaki, truskawki, krzewy agrestu i czarnej porzeczki. Wiele razy przyrzekała sobie, że zakasze rękawy i przywróci świetność temu zagonowi. Jak na razie wszystko kończyło się na czczych obietnicach.

Gdy dotarła do Rose, spotkała ją niemiła niespodzianka. Koleżanka oświadczyła, że nie może do niej dołączyć. Przyłożyła palec do ust, złapała ją za rękaw i odciągnęła na bok.

– Przepraszam, ale dzisiaj wypadło mi spotkanie. Ojciec postawił mi warunek: żadnego wyjścia, dopóki robota w obejściu nie zostanie skończona. Wybacz, muszę lecieć, gdyż czeka mnie nawał pracy.

Zniknęła w drzwiach zaniedbanego domu z odpadającym tynkiem. Zawiedziona Shirley podążyła pełną drogą w kierunku kanału.

Usytuowanie ich gospodarstwa miało kilka zalet. Jedną z nich było to, że chatka, podwórze i zabudowania gospodarcze były położone z dala od drogi. Następnym pozytywem był fakt, że łąki przylegały bezpośrednio do domu.

Grunt po ostatnich opadach nasiąkł wodą, a w nierównościach terenu potworzyły się kałuże. Spacerkiem doszła do końca drogi. Do pokonania pozostał jej tylko rów melioracyjny. Ktoś kiedyś położył w jego poprzek kolejowe podkłady.

Osiągnęła swój cel – dotarła do kanału. Ożywczy chłód uderzył w jej twarz. Stąpała po dywanie soczystej zieleni rozpościerającym się pod jej stopami. Był to kolorowy gobelin urozmaicony wzorkami. Tworzyły je stokrotki, jaskry, niezapominajki, fiołki i maki. Całość uzupełniały kępki białej i czerwonej koniczyny, szkarłatnej wyki i mlecze. Rozchodząca się w powietrzu mieszanina cudownych, dzikich aromatów ziół: mięty, szałwii i rumianku upajała zmysły.

Pszczoły zbierały nektar, brzęcząc pomiędzy kwiatkami. Ptaki łapały owady, a w wolnych chwilach świergotały. Z oddali dolatywało gruchanie cukrówki.

Nad brzegiem rosły drzewa, krzewy, kaczeńce, kępy turzyc, trzciny i pałki wodne. Kanał otoczony wodną roślinnością jest podwójnie urokliwy, jako że piękno przyrody odbija się jak w lustrze w jego głębinach. Skupiska przybrzeżnych szuwar były doskonałą kryjówką dla wodnego ptactwa. Łabędzie i cyranki dryfowały po tafli wody. Na brzegu sterczała czapla i wpatrywała się w wodę.

Shirley mogłaby przebywać tutaj godzinami. Słuchać wiatru, szeleszczących liści, szeptów w runie leśnym i chlupiącej wody, odbijającej się od brzegu do brzegu. Jakże piękny był świat; jakże chciało się żyć.

Ruszyła w kierunku zagajnika, gdzie Matka Natura utuliła ją w swoich ramionach. Podążała ścieżką wijącą się pośród zarośli. Paprocie i wrzose głaskały jej stopy; zwisające gałązki brzoźek muskały twarz listkami. Pachniało żywicą i kwiatami lipy. Słońce przebijało się przez gęstą zasłonę, promienie słoneczne rozświetlały zacienioną przestrzeń, pobłyskując tysiącem roztańczonych odcieni. Maszerowała po miękko wyścielonym podłożu utworzonym z igliwia, liści i mchu. Czuła się bezpieczna pod ramionami drzew. Były wśród nich młode i stare; niskie i wysokie; liściaste i iglaste. Ich wiek i pozycje w hierarchii drzewostanu najtrafniej odzwierciedlała kora na pniach:

- młode były lśniące i gładkie;
- dojrzałe były brodawkowate i łuszczyły się;
- najstarsze były pomarszczone i z wydrążonymi dziurami.

Największe wrażenie zrobiły na niej wiekowe drzewa-staruszki, pamiętające minione dekady. Stały przygarbione ciężarem konarów, pokasane słońcem, wysmagane deszczem i wychłostane wiatrem. Zmurszałe wierzby przygarbiły się i pochyliły do ziemi. Niedługo ułożą się na niej do wiecznego snu. Popękane, porowate pnie pokryją powoje, porosty i mech. Gałęzie zbutwieją, a drewno rozsypie się w pył.

Osiągnęła serce lasu. Przymrużyła oczy z powodu jasności rozlewającego się na wolnej przestrzeni światła. Urokliwa polanka. W jej rogu prezentowała się jarzębina, obwieszona czerwonymi koralami. U stóp drzewka pobłyskiwały krople rosy, a w powietrzu unosiły się dziesiątki roztańczonych kolorowych motyli.

W zaroślach przetrwały ślady wygasłego ogniska. Marne wypalone resztki: osmolone szczapy, spopielane drewno i sterczące z popiołu niedopalone główne. Zwęgleni świadkowie pamiętający, że kiedyś buchały tutaj roziskrzony płomień.

Polana narażona była na atak plennie rozprzestrzeniającej się roślinności. Dzika, nieokiełzana przyroda ukazywała swoje ekspansywne oblicze. Rozrastające się w zawrotnym tempie, „wędrujące” maliny, nastroszone kolcami tarniny, cierniste jałowce, kłujące osty, parzące pokrzywy, pełzające bluszcze, wijące się powoje, zaczepne rzepy, przymilające się przytulnie i wszelkiego innego rodzaju chwasty pragnęły zawładnąć tym miejscem i posiąść go dla siebie.

Powiała ożywcza bryza. Gałęzie zafalowały; konary zatrzęszczały; liście zaszeleściły.

Kierowała się w stronę zatoki. Do brzegu kanału przycumowane były barki. Stare i nowe. Zadbane i zniszczone. Niektóre z nich były odmalowane i odnowione. Z kominów unosił się dym. Wokół kręcili się ludzie. Inne



łodzie były w opłakanym stanie. Zdewastowane, pordezwiąła, a niektóre zatopione.

W drodze powrotnej postanowiła przyjrzeć się zajęczkom. Milutkie futrzaki. Może uda jej się złapać któregoś i przytulić do policzka? Wkroczyła na łąkę i skierowała się w stronę nasypu. Teren wokół rowu porośnięty był brzoškami i olszynami, tarniną, jeżynami i pokrzywami. Kiedy podeszła bliżej, ujrzała kicające zajęczki. Zajadały się pędami roślin, koniczyny i mleczem. Zauważyły ją i zamarły w bezruchu. Zapewne zastanawiały się: kżół to ośmielił się wkroczyć na ich terytorium? Szybko ulotniły się w zaroślach.

Podeszła do brzegu nasypu. Wyteżyła wzrok. Wypatrzyła zajęczki i dorosłe osobniki. Ich szarobrązowe futerka zlewały się z kolorem otoczenia. To cud, że nie wysledziły ich jeszcze lisy czy drapieżne ptaki. Widocznie miały się na baczności i dopisywało im szczęście. Usytuowanie ich kryjówki było przemyślane. Z jednej strony głęboki rów wypełniony wodą, a z drugiej gęsta płatanina zarośli. Jednym słowem – forteca nie do zdobycia.

Pierwsze strumienie mleka popłynęły do wiadra. Po udoju, zawinął tetrową szmatę na wierzch konwi. Świeże mleko popłynęło przez gęsty materiał, pozostawiając na jego powierzchni nieczystości. Dermot zacisnęła dłonie na uchwytach konwi i szarpnęła trzydziestolitrową kanką. Naszły go przy tym wspomnienia. Nawiedziły go demony z przeszłości. Niespełnienie zawładnęło jego ciałem. Popadł w odrętwienie. Patrzył tępo przed siebie. Nie dostrzegał nic, tylko niewyraźne plamki i mgliste wspomnienia.

Piętrzące się w zlewie naczynia; poplamiony obrus; brudne talerzyki; porzrzućane sztućce; poprzewracane kubki, szklanki i kieliszki; okruchy drożdżówki; nadgryziony chleb; zaśmiecona podłoga. Tak prezentowała się kuchnia po skończonej wizycie. Shirley nie miała pojęcia, od czego zacząć, a czekała na nią jeszcze sterta pościeli, koszul i bielizny do wyprasowania.

W głowie Shirley panował męćlik. Natrętna myśl nie dawała jej spokoju. Drażniła ją jak drzazga pod paznokciem. Podjęcie pracy równałoby się startowi w dorosłe życie. Zarobione pieniądze oznaczałyby niezależność. Nie ważne, co będzie robiła, gdzie i dla kogo! Była zdecydowana stawić czoła najtrudniejszym zadaniom.

Dermot nie był naiwny i zdawał sobie sprawę, że życie nie jest proste. W wielu sprawach z żoną się nie zgadzali. Wiedli często dysputy i spory. Dąsali się na siebie, by po pewnym czasie się godzić. Nie mógł jej zarzucić, że myślała wyłącznie o sobie. Wręcz przeciwnie, Sarah zawsze na pierwszym miejscu stawiała rodzinę. Od początku małżeństwa zauważał, jak wytrzymała była jego żona. Mądrze planowała, marnując tak mało, jak tylko możliwe, czasu pomiędzy zajęciami. Była zaradna i zapobiegliwa.

Hodowała królik, kury, indyki, kaczki i gęsi. Zagospodarowywała warzywa i owoce. Pozyskane domowym sposobem przetwory, dżemy, mięso, nabiał czy jajka żywiły rodzinę. Uzyskane nadwyżki sprzedawała, wspomagając domowy budżet, co było nie bez znaczenia, zwłaszcza na przednówku.

Dbiała również o niego. Dogadzała mu. Gdy wracał do domu, podtykała mu pod nos talerz, często zaskakując go wymyślnymi potrawami. Kotlety z grzybkami, duszona karkówka, żeberka w miodzie, wątróbka z cebulką, zasmażana kapusta, kurczak w potrawce, grillowane piersi indyka, panierowane skrzydełka, pieczone kiełbaski, chrupiące plastry bekonu, pierożki. Pełne urozmaicenie. Palce lizać!

Dobrze też było do kogo usta otworzyć, zwłaszcza w długie zimowe wieczory. Wyżalić się, porozmawiać o codziennych sprawach. I wreszcie, jego żona miała w sobie ogromne zasoby kobiecego ciepła. Jednym słowem dobra z niej była gospodyni, matka i żona. Dlatego niech sobie smacznie śpi. On tymczasem naleje kotu mleka i nakarmi psa. Potem usiądzie w fotelu, zapali cygaro i pomarzy o białym koniu czystej krwi arabskiej.

Przytłumione światło żarówki oświetlało fragment schodów, którymi podążała do góry. Cień sylwetki tańczył rozedrganym cieniem na pobielonych ścianach. Znajome odgłosy: trzeszcząca podłoga, zgrzyt klamki i skrzypienie nienaoliwionych zawiasów. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i mysięgo moczu.

Usiadła na krześle i wyciągnęła przed siebie nogi. Czowała się zmęczona; ciążyły jej powieki. Włączyła radio – popłynęła muzyka. Zapaliła zapachową świeczkę. Drgał płomień; pachniało woskiem i cynamonem. Lubiła taki romantyczny nastrój.

Sięgnęła po zeszyt w twardej okładce. Z jego boku wystawała postrzępiona bordowa tasiemka. Na pierwszej stronie, widniał starannie wykaligrafowany napis: **PAMIĘTNIK**, otoczony obwódką kolorowych kwiatuśzków. Poniżej imię i nazwisko: *Shirley Hallissey*. W dolnym lewym rogu: *rozpoczęty dnia: 10/X/1979 r.*; w poprzek od dołu do góry: *Moje życie i tęsknoty*.

Wszystkie kartki były białe, bez kratek czy linii, jak *niezapisane tablice*. Otworzyła zeszyt na chybił trafił:

*„27/XII/1979 r. Sobota.*

*Święta przebiegły spokojnie. W domu pachniało ciastem. Przygotowywałam z mamą indyka. W drugi dzień świąt odwiedził nas wujek z ciocią. Przywiózł prezenty. Dostałam czekoladę, pomarańcze i rajstopy. Wkrótce moje 15 urodziny”.*

Słowa drżące, chaotyczne, wyrwane z kontekstu i losowo poskładane w całość. Pisała szybko, a tym samym bez ładu. Ale, ale... a nuż po latach te

wydające się teraz banalne, słowa przybiorą inny wymiar. Złapała za długopis i wypisywała postanowienia:

„20/VII/1980 r. Niedziela.

1. *Muszę być zdeterminowana;*
2. *muszę stawić czoła trudnościom;*
3. *muszę przekroczyć granice niemożliwości;*
4. *muszę przestać być nieśmiała;*
5. *muszę przestać być uległa;*
6. *muszę przestać uśmiechać się głupio;*
7. *muszę przestać usługnie spuszczać oczy.*

*Muszę, muszę, muszę! Trzeba wierzyć; trzeba bardzo chcieć, a wszystko się spełni pewnego dnia”.*

Skończyła i zamknęła kajet. Z radia płynęła muzyka. Podniosła się z krzesła, podeszła do okna i spojrzała w ciemność. Co się tam kryło utulone w mroku? Słyszała szum liści i cichy szepc wiatru spowitych bladym blaskiem księżyca. Być może tej nocy gwiazdy wysłuchają jej życzeń, a o poranku słońce powita ją radosnym uśmiechem.

Zapadła noc. Woal ciemności rozciągnął się nad łąkami. Krople rosy pobłyskiwały na płatkach kwiatów. W stawie zarechotała żaba, wtórując koncertowi świerszczy.

W maleńkim domku zapanowała cisza. Słyszać było tylko miarowe tik-tak, tik-tak, tik-tak. To zegar odmierzał czas. W oknie pokoiku na piętrze odbijał się poblask księżyca. Zabłąkana ćma uderzała o szybę, starając się dotrzeć do nęcącego ją złudnego światła.